Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 218 (Rok XIII, Nr 4) 15 lutego 1953 Cena (Price) 1/6

UCZYNNI GRABARZE

OSKARŻENIE lekarzy sowieckich, które w pierwszej chwili z perspektywy zachodniej wyglądało wręcz groteskowo, okazało się wstępem do wielkiej czystki w samych Sowietach. Po procesach w Pradze i Krakowie nastąpiły aresztowania w Moskwie, Kijowie i Mińsku. Kreml usiłuje ukazać gigantyczną sieć szpiegostwa amerykańskiego działającego w Czechach przez Żydów i masonów, w Polsce przez księży i narodowców, w Sowietach przez „inorodców".

W poprzednim numerze wskazywaliśmy, że Stalin przestraszył się wyboru Eisenhowera. W systemie sowieckim tępi się nie tylko rzeczywistych ale i potencjalnych wrogów. Nie dowiemy się zapewne prędko, a może nie dowiemy się nigdy, w jakim stopniu czystka sowiecka opiera się na czystym wymyśle, w jakim na podejrzeniu, a w jakim na wiadomościach o rzeczywistej gotowości współpracy z Amerykanami.

Tego rodzaju nagonki sowieckie zawsze mają cel podwójny: wewnętrzny i zewnętrzny. Na wewnątrz imperium bolszewickiego mają zastraszyć ludność i zwiększyć dyscyplinę aparatu rządowego. Z tego punktu widzenia obecna czystka jest interesująca, bo dowodzi, że nie tylko w krajach ujarzmionych ale i w samych Sowietach nie wszystko jest z punktu widzenia bolszewickiego w porządku. Wobec świata zewnętrznego nagonki mają inny cel: dezinformację. Sowiety wiedzą, że nie wzbudzą nimi sympatii ani szacunku dla siebie w żadnych kołach na Zachodzie. Równocześnie jednak mogą być pewne, że wszystko, co o rzekomych spiskach i szpiegach napisze prasa bolszewicka, będzie powtórzone i rozpropagowane na cały świat przez prasę „burżuazyjną" a zwłaszcza „emigrancką". W komunikatach więc swoich mieszają w ten sposób fragmenty prawdy z wymysłami, by tworzyły sowiecką „konstrukcję rzeczywistości" i by prasa wolnego świata, nawet umieszczając wrogie Sowietom komentarze propagowała sowiecką „prawdę".

Szczególnie cenne z punktu widzenia sowieckiego jest wprowadzenie zamieszania w działalność emigracji politycznych, z przejęciem rozważających każdą wieść z kraju. Naiwność ludzi nie wychowanych w systemie sowieckim w stosunku do wiadomości zza żelaznej kurtyny jest duża. Emigranci nie stanowią tu wcale wyjątku. Największa bodaj zaś jest naiwność polskich „Lawrence'ów", „wywiadowców" skazanych na wyżywanie się w druku. Ci wszystko zawsze wiedzą, na wszystkim się znają i gotowi przyjąć wszystkie tezy propagandy sowieckiej, by na nich móc wykazać swoje znawstwo i przypomnieć o swojej gotowości. Skutek takich elaboratów jest zamierzony, ale nie przez ich autorów tylko przez bolszewików. „Prawda" sowiecka idzie w świat, nieufność a nawet rozjątrzenie pojawia się w środowiskach najbardziej dla Sowietów niebezpiecznych, a agenci bolszewiccy po kawiarniach, redakcjach i „herbatkach" dowiadują się tego, czego nie dowiedzieli się w izbach tortur Bezpieki.

Walka o przyszłość świata jest rzeczą zbyt poważną i przeciwnik sowiecki jest zbyt poważny, by było miejsce na załatwianie przy okazji tej walki małych wewnętrznych porachunków przez niepoważne artykuły prasowe, czy to zwane „sprawozdaniami", czy „odezwami", czy jeszcze jak inaczej.

FORMOZA

Pierwsze ważne posunięcie nowego rządu amerykańskiego dotyczy, rzecz charakterystyczna, Azji. Republikanie przywiązywali zawsze większą wagę do spraw azjatyckich niż demokraci. Eisenhower, choć uchodzi za amerykańskiego „Europejczyka" — zwłaszcza w przeciwieństwie do „Azjaty" MacArthura — poszedł w tym wypadku po linii swojej partii. Pozwolenie narodowemu rządowi chińskiemu z Formozy, pozwolenie równające się zachęcie, do rozpoczęcia działań ofensywnych przeciwko komunistycznym Chinom, może mieć nie byle jakie skutki. Chiny nie mają poważniejszej floty wojennej, a Sowiety nie mogą ryzykować wyprowadzenia swojej na Pacyfik. Pod ochroną przemożnej amerykańskiej Floty Oceanu Spokojnego Cziang Kai Sziek może uderzać na wszystkie niemal porty chińskie i zaskakiwać Mao Tse Tunga coraz to w innym punkcie, próbując wszędzie zaczepienia. Pamiętać zaś warto, że do dziś na pograniczu chińsko - burmańskim walczą oddziały chińskiej armii narodowej.

Za wcześnie jeszcze mówić, jaki wpływ nowy czynnik w postaci Chin narodowych wywrze na przebieg walk w Indochinach, na Malajach i na Korei. W każdym razie, jeżeli dotąd tylko Kreml prowadził wojny „by proxy" rękami Koreańczyków, Annamitów czy Chińczyków, teraz podobne walki dywersyjne na flankach będzie mógł wywoływać i Waszyngton.

O tym zapewne myślał nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, gdy za naczelną zasadę wysuwał, że nie można przeciwnikowi pozostawiać inicjatywy uderzenia i że zimną wojnę można wygrać.

Trudność polega na tym, że jedyną drogą do wygrania zimnej wojny jest jej . . . podgrzewanie. Przy podgrzewaniu zaś istnieje niebezpieczeństwo osiągnięcia punktu, w którym następuje wybuch. Amerykanom należy oddać tę sprawiedliwość, że obawa ryzyka nie leży w ich tradycji ani temperamencie. Zimną wojnę może istotnie można by wygrać bez wojny powszechnej, gdyby w miarę podgrzewania jej przez Amerykanów Sowiety zaczęły ją zamrażać. Innymi słowy, gdyby Sowiety zaczęły się zachowywać tak biernie wobec akcji przeciwnika, jak państwa zachodnie zachowywały się wobec akcji sowieckiej w pierwszych latach po zakończeniu działań wojennych drugiej wojny światowej.

Na razie jeszcze nic na taką zmianę polityki sowieckiej nie wskazuje.

„Spuszczenie ze smyczy" narodowych Chin wywołało przerażenie wśród polityków zachodnio-europejskich. Psychika rządów zachodniej Europy jest mniej więcej taka, jak była rządu francuskiego przed drugą wojną światową. Dominuje w niej obawa, by nie „dać się wciągnąć" w awanturę. Rozumiemy dobrze, że żyjące w wolności i dobrobycie narody zachodnie mają wszelkie powody obawiać się nowych rzezi, zniszczeń i rozpętania zła. Któż by ich pragnął dla siebie? Gdyby bolszewizm można było przeczekać... Cóż, kiedy najwieksi nawet optymiści nie twierdzą już dziś, że można.

KURYLE CZY NYSA

Mniej jasne w deklaracji programowej prezydenta Stanów Zjednoczonych były ustępy odnoszące się do Jałty. Wywołały one u Polaków radość, a w jednym z tygodników nawet coś w rodzaju adresu dziękczynnego. Radość ta może okazać się przedwczesna.

Prezydent Eisenhower zapowiedział, że zwróci się do Kongresu o uznanie, że rząd Stanów Zjednoczonych nie jest związany tajnymi umowami zawartymi z Sowietami, których skutkiem było ujarzmienie narodów. Dotąd wiadomo o jednej tylko tajnej umowie, jaką zawarł w Jałcie Roosevelt ze Stalinem, a która dotyczyła spraw Dalekiego Wschodu, a mianowicie zapłaty Sowietom za przystąpienie w przyszłości do wojny z Japonią w postaci Wysp Kurylskich i południowego Sachalinu oraz koncesji w Mandżurii. Być może, że mowa Eisenhowera dotyczy tylko tej sprawy. Byłoby to w zgodzie z jego posunięciami w Azji. W Jałcie umów tajnych w sprawach polskich, o ile wiadomo, nie było. Zarówno uznanie „komitetu lubelskiego" jak „linii Ribbentrop—Mołotow" zostało natychmiast ogłoszone.

Może być jednak, że zwrot o „tajnych umowach" jest wyrażeniem stylistycznym i że całość umów teherańsko-jałtańsko-poczdamskich ma ulec unieważnieniu. Taką interpretację daje część prasy amerykańskiej z „New York Timesem" na czele. Ale znowu interpretacja ta nabiera pod piórem publicysty tego ostatniego pisma, znanego pisarza Baldwina, bardzo niepokojącego posmaku. Uważa on, że główną korzyścią z wypowiedzenia Jałty będzie możność pozyskania Niemców, gdyż Stany Zjednoczone przestaną być związane w sprawie granicy na Odrze i Nysie i mogą obiecać Niemcom odzyskanie terytoriów wschodnich. Na pociechę Polakom Baldwin powiada, że tym samym i „linii Curzona" uznanie byłoby cofnięte.

Przykład ten wskazuje, jak często Polacy nie rozróżniają propagandy od polityki. W propagandzie jednowyrazowe, popularnie brzmiące hasła mają dużą moc i bywają pożyteczne. W polityce sformułowania hasłowe są bardzo niebezpieczne. „Unieważnić Jałtę" brzmi bardzo dobrze na transparencie, bardzo źle w akcie politycznym. Eisenhower powiedział konkretnie o umowach tajnych. Zamiast wypisywać mu laurki i nadawać jego słowom sens jak najogólniejszy, należy się postarać, by następne konkretne jego oświadczenie posuwało naprzód sprawę polską, a nie dawało odskoczni wrogom naszej niepodległości lub naszych granic.

DLA OBRONY SOWIETÓW

Oświadczenie reżimowego ministra spraw zagranicznych Skrzeszewskiego, że udzielenie przez Danię baz wojskowych siłom zbrojnym Ameryki i Anglii zagraża bezpieczeństwu Polski zbiega się z mową Bieruta do górników wygłoszoną na konferencji aktywistów w Katowicach. Bierut żądał mianowicie większego wysiłku od kopalnictwa węglowego, niezadowolony z obecnego wydobycia węgla — 84.5 miln ton w 1952 r. Ponieważ górnictwo nie wykonało planu (zabrakło około 850 tys. ton do przewidzianej przez plan cyfry), przeto analizując przyczyny tego niepowodzenia Bierut rzucił m. i. hasło „stalowej dyscypliny pracy" oraz „podniesienia autorytetu kierowników". Hasła te, razem z innymi mniej ważnymi, zostały powtórzone przez całą propagandę reżimową jako obowiązujące „każdą gałąź gospodarstwa i każdego w niej pracownika". W ten sposób zapowiedziano, że obowiązujące od dawna ustawy o bumelanctwie oraz o ograniczeniach w zmianie miejsca pracy itd. będą teraz bardziej przestrzegane. Kto wie, czy nie zostaną wydane nowe zarządzenia wzmacniające dyscyplinę pracy.

W przemówieniu Bieruta i w komentarzach do niego było bardzo wiele terminologii wojskowej. Bierut nazywał kierowników produkcji oficerami, dowódcami itd. Nadawało to przemówieniu wojowniczy czy wojenny ton.

Wykonanie planu za 1952 r. też nie było wolne od podobnych akcentów. Plan został wykonany w 98 procentach, co jest niemal przestępstwem z punktu widzenia komunistycznego. Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego mogła się pocieszać tylko tym, że postępująca dewaluacja pozwoliła na określenie planu jako wykonanego w 120 procentach w „cenach niezmiennych". Wyniki wykonania podane przez PAP wskazują, że przemysł górniczy wykonał plan w 99%, maszynowy — 93%, chemiczny — 93%, materiałów budowlanych — 98%, lekki — 99%, żywnościowy — 98%, mięsny i mleczny — 97%, cementowy — 99%. Za to niektóre przemysły wykonały niezwykłe nadwyżki produkcji ponad plan, wskazujące, że wydano im zarządzenia poważnego zwiększenia produkcji, a co ważniejsze, że musiały one otrzymać potrzebne do tego środki. Wśród takich działów znajdują się: traktory (145%), siewniki maszynowe (153%), nafta (132%), benzyna syntetyczna (176%), sprzęt radiowy (137%), samochody ciężarowe (189%), ruda miedziana (155%).

Na tej liście zrozumiałe są traktory i siewniki. Reżim potrzebuje więcej maszyn w celu przyspieszenia kolektywizacji, mówiono o tym parę razy i otwarcie zupełnie wiązano sprawę rozbudowy fabryk maszyn rolniczych w Płocku i Starołęce z zagadnieniem „upowszechnienia gospodarki socjalistycznej w rolnictwie". Wyrazem tej tendencji będzie poza tym ogólnopolski kongres kołchoźny, rozpoczynający swe obrady za kilka dni w Warszawie. Zwiększenie produkcji samochodów ciężarowych, sprzętu radiowego, benzyny syntetycznej itd. celom rolnictwa służyć może tylko w ograniczonym zakresie. Natomiast zbrojenia mogą być tylko tym działem, który najwięcej na tych wzrostach skorzysta.

Przykład Polski jest w bloku sowieckim tylko przykładem. Ostrożnie ogłaszane dane o wydobyciu nafty w Rumunii wskazują, że tak zwane mieszane towarzystwa naftowe rumuńsko-sowieckie starają się wszelkimi sposobami zwiększyć produkcję ropy, nieraz stosując zawiłe procesy

eksploatacji zarzuconych poprzednio szybów. Inne dane z państw satelickich wskazują na zwiększenie produkcji skóry i butów, chociaż produkty te są rzadkie w sprzedaży cywilnej. Blok sowiecki wyraźnie przygotowuje się do wojny i wprawdzie przygotowania gospodarcze czyni po cichu, to jednak w propagandzie już zbyt wiele nie ukrywa.

Charakterystyczna jest np. instrukcja dla agitatorów w sowieckich wyborach komunalnych przypadających na luty i marzec. Agitatorzy ci mają wyjaśniać przede wszystkim międzynarodową sytuację, referować porównania pomiędzy światem zewnętrznym a Sowietami, i wszystko to w duchu „czujności i gotowości do obrony Związku Radzieckiego". Jak na akcję wyborczą do miejskich sowietów, jest to co najmniej oryginalne, jednak zupełnie zrozumiałe w obecnej chwili, tak jak ją bolszewicy widzą.

KOŁCHOŻNA MANIFESTACJA

Bierut nakazał zwołanie na 21 i 22 bm. „Krajowego Zjazdu Spółdzielczości Produkcyjnej". Zgromadzenie to, na które przybędzie około 1.000 delegatów wybranych przez powiatowe zjazdy kołchoźne, zajmie się „wskazaniem dróg do dalszego organizacyjno-gospodarczego i politycznego umacniania i rozwoju spółdzielni produkcyjnych".

Uchwały zjazdu, przygotowane z góry wskażą najprawdopodobniej czy należy się liczyć z wielką falą kolektywizacji, czy też będzie ona stosunkowo wolna. Obecnie jest w kraju 4.900 kołchozów obejmujących 1.200 tys. członków na obszarze 1 miln ha.

Rok ubiegły był okresem poważnego przyspieszenia kolektywizacji, choć rozmiary jej były ciągle ograniczone. Na 1. 1. 1952 r. było w kraju około 3.000 „spółdzielni produkcyjnych", założonych w poprzednich czterech latach. W ciągu 1952 r. przybyło ich około 2.000. Można przypuszczać, że 1953 r. będzie rokiem dalszego znacznego przyrostu, nie oznaczającego jednak całkowitej kolektywizacji przymusowej. To co reżim uzyskał dotychczas na ogół nie jest dobrowolne, lecz wymuszone, nie ma jednak stosowania praktyk czysto formalnego przymusu — raczej czuje się różne naciski pośrednie. Na większy skok w dziedzinie tworzenia „spółdzielni" reżim się już przygotował. Wskazuje na to zwiększona produkcja maszyn rolniczych oraz sposób podania rolniczej części sprawozdania z wykonania planu w 1952 r. Stwierdzało ono powstanie około 70 nowych stacji traktorowych, zwiększenie ilości traktorów o 8.400, mechanicznych żniwiarek-kombajnów o 2.400. „Sektor socjalistyczny rolnictwa" ma obejmować 17% całej powierzchni uprawnej Polski.

O DACH NAD GŁOWĄ

Szeroko opisywany rozwój budownictwa w Polsce nie zaspokaja potrzeb ludności. Jeżeli wziąć pod uwagę, że Warszawa została zniszczona przez wojnę w trzech czwartych, że połowa Wrocławia, olbrzymia część Gdańska legły w gruzach — to zadania budownictwa mieszkaniowego są w kraju olbrzymie. Część ich jest zaspokajana przez reżim, choć szybkość prowadzenia robót szkodzi nieraz wykończeniu i powoduje niekończące się skargi na domy z łazienkami ale bez wanien, na niedopasowane drzwi, niedoprowadzoną elektryczność itd. Niemniej rocznie buduje się 112 tys. izb mieszkalnych. Jest to liczba całkowicie nieodpowiadająca potrzebom. Jeżeli nawet wziąć pod uwagę, że gęstość zaludnienia mieszkań w Polsce jest o wiele większa niż na zachodzie Europy, tak że 1 pokój śmiało odpowiadać może 2 mieszkańcom, to jednak i tak widać, iż maksimum 200 do 300 tys. osób rocznie może uzyskać pomieszczenie. Ponieważ jednak szybkie uprzemysłowienie spowodowało masowy napływ ludności wiejskiej do miast (ponad dwa miliony), to nawet przy zahamowaniu przypływu znaczna część musiałaby czekać na mieszkanie przez 10 lat, koczując przez ten czas w barakach tak zwanych hoteli robotniczych.

Rozumowanie takie nie bierze pod uwagę niszczenia starych domów, wśród których wiele nie remontowano od 1938 r. Ogłoszone w kraju dane wskazują, że wyremontowano w ub. r. około 50.000 izb. Jak to zrobiono świadczą liczne zebrania „komitetów blokowych" w Warszawie i na prowincji, na których milczące skądinąd społeczeństwo nie szczędzi słów krytyki przedsiębiorstwom remontowym. Remonty prowadzone są zwykle przez specjalne przedsiębiorstwa miejskie, których kierownicy otrzymują premie zależnie od obrotu przedsiębiorstwa i wyremontowanej powierzchni. Roboty wykonuje się więc najchętniej w dużych domach i stara się je jak najszybciej zakończyć. Cierpią na tym domy i mieszkańcy, gdyż jak donosi prasa komunistyczna do 20% mieszkań remontowanych na przedmieściach Warszawy nadaje się do natychmiastowego ponownego remontu. Na tym tle zdarzyły się wypadki, dawniej nie notowane. Oto z jednej strony przedsiębiorstwa budowlane uzyskały dodatkowy termin jednego miesiąca w 1953 r. na poprawienie wszystkich „usterek" w remontach przeprowadzanych w 1952 r., a z drugiej grupa robotników jednego ze stołecznych przedsiębiorstw budowlanych zebrała się na specjalne zebranie po to, by uchwalić zobowiązanie, że tak będzie remontować domy, aby dodatkowy remont po remoncie nie był potrzebny.

PO 35 LATACH

W Sowietach odbywa się wielka czystka. Nad jej przyczynami zastanawia się połowa świata, jej szczegóły są w dużym stopniu pokryte tajemnicą. To jednak co dochodzi do wiadomości Zachodu wskazuje, że 35 lat wychowania komunistycznego nie dało takich wyników, jakich spodziewali się Lenin i towarzysze. Nie tylko, że nie zmienił się na lepsze charakter człowieka (często zaszła zmiana odwrotna), ale nie zmieniły za bardzo poglądów ludzkich. To ostatnie zjawisko uwydatniło się szczególnie w ostatnich miesiącach. Jest oczywiste, że bolszewicy przesadzają w swych oskarżeniach, ale niektóre poglądy „odchyleńców" cytowane przez prasę naprawdę wskazują, że wpływ zachodniego sposobu myślenia jest ciągle znaczny. Nawet ludzie nowi, od początku wychowywani przez szkołę i uniwersytet komunistyczny dochodzą do wniosków, które nie godzą się z ortodoksyjną doktryną leninowską. Rzadko dzieje się to w sprawach zasadniczych, za to dość często w metodach myślenia i udowadniania urzędowych tez sowieckich. Tym np. tłumaczy się ataki Wyszyńskiego, jako członka sowieckiej akademii nauk, na prawników sowieckich, a w szczególności na specjalistów z dziedziny prawa międzynarodowego.

„BŁAT"

Prasa i radio sowieckie czasem przerywają powódź pochwał dla „nowego człowieka", by ukazać jego mniej wspaniałe osiągnięcia. Wtedy wychodzi obraz dziwny. Bo oto niektórzy ludzie sowieccy wyglądają tak:

„Przy ulicy Lenina w Majkopie stoi duży dom w ogrodzie. Członek rejonowego adygejskiego komitetu tow.

Siergiejew raz przejeżdżał obok, i tak sobie dom upodobał, że postanowił go otrzymać na własność. Udało mu się to szybko przeprowadzić przy pomocy przewodniczącego miejskiego komitetu partii towarzysza Merkuriewa, o którym fama mówi, że wszystko potrafi załatwić.

„Merkuriew uzyskał z miejscowego banku pieniądze na remont pewnego domu należącego do miasta, użył ich jednak na zakup domu dla Siergiejewa. Ten wprawdzie mieszkania nie potrzebował, ale załatwił sprawę tak, że dom wynajęto na długi termin jego teściowi".

Wrogowie Siergiejewa i Merkuriewa poruszyli całą tę sprawę na posiedzeniu plenum komitetu miejskiego w jesieni 1952 r., lecz nie doczekali się satysfakcji, gdyż większość członków uchwaliła tylko unieważnienie umowy z teściem Siergiejewa i na tym poprzestała. Wobec tego grupa niezadowolonych udała się do redakcji „Adygejskiej Prawdy" i postanowiła „obmalować" obu dygnitarzy na łamach pisma. Redaktorowi pomysł spodobał się i zaczął grzebać w przeszłości Merkuriewa. Wyjątki z napisanego przezeń artykułu brzmiały tak:

„Merkuriew ma doświadczenie w kupnie i sprzedaży domów, a szczególnie w ich odnawianiu. Gdy był on jeszcze dygnitarzem budowy elektrowni, jego teść Pieriepielicyn „ofiarował" jego żonie własny dom w prezencie. Merkuriew z łatwością uzyskał zasiłek państwowy na odnowienie „domu należącego do pracownika przemysłu budowlanego", po czym gdy wszystko było gotowe pani Merkuriewa „ofiarowała" dom z powrotem własnemu ojcu.

„Gdy Merkuriew został przewodniczącym komitetu miejskiego potrafił uzyskać od państwa 30 tys. rubli na przebudowę własnego mieszkania".

Artykuł opowiadał dalej, jak płacił on za to innym urzędnikom, zwykle w ten sposób, że uzyskiwał dla nich kredyty na budowę lub remont domów.

Artykuł nigdy się nie ukazał. Wyższy komitet partyjny (rejonowy) interweniował przed ogłoszeniem i redaktor prowincjonalnego pisemka musiał wszystkie zarzuty odwołać. I to zostało wydrukowane, pomimo że zarzuty publikowane nie były. Natomiast komitet rejonowy wyłonił komisję dla zbadania sprawy. Po miesiącu urzędowania komisja stwierdziła, że zarzuty były słuszne. Na ostatnim posiedzeniu zastanawiała się, co ze sprawą zrobić i doszła do przekonania, że nie wie. Sekretarz komitetu rejonowego zlecił jej wtedy „kontynuować pracę", gdyż odwołanie zamieszczone przez redaktora „Adygejskiej Prawdy" nie może być zmienione bez podrywania autorytetu komitetu rejonowego.

Cała ta historyjka nie została wymyślona przez burżuazyjnych „kalumniatorów" ani „amerykańskich najemników" — była wydrukowana na dwóch szpaltach moskiewskiej „Prawdy".

Oto jak reżim sowiecki wykorzystał 35 lat przeznaczonych na wychowanie „nowego typu człowieka". Ten nowy „typ" rządzi, jest w partii i decyduje.

JÓZEF PŁOSKI

PARLAMENTARYZM POLSKI

SEJM KONSTYTUCYJNY

OKRES dwudziestu jeden lat w odbudowanej Polsce podzielić można na pięć zasadniczych podokresów.

Pierwszy, najkrótszy charakteryzował się przez skupienie całości władzy ustawodawczej, wykonawczej i wojskowej w ręku tymczasowego Naczelnika Państwa, przed którym ministrowie byli odpowiedzialni.

Drugi, równie przejściowy, był wbrew zamierzeniom znacznie dłuższy. Trwał on od uchwalenia tak zwanej małej konstytucji z (20. 2. 1919 r.), oddającej całość władzy ustawodawczej i kontrolnej w ręce sejmu, zwanego nieściśle ustawodawczym. Naczelnik Państwa miał być wykonawcą uchwał sejmu „w sprawach cywilnych i wojskowych" (to ostatnie ze względu na kumulację urzędu głowy państwa i naczelnego dowódcy).

Trzeci, od wejścia w życie konstytucji marcowej 1921 r. do przewrotu majowego.

Czwarty, przy formalnym zachowaniu konstytucji, był okresem rządów opartych o autorytet osobisty Piłsudskiego. Rola sejmu była w nim drugorzędna.

Wreszcie piąty, okres rządów w oparciu o konstytucję kwietniową 1935 r., w którym parlament odgrywa rolę organu aprobującego tylko, a opozycja działa poza parlamentem.

Wkrótce po objęciu władzy tymczasowego Naczelnika Państwa, Piłsudski wydał 28. 11. 1918 r. dekrety o ordynacji wyborczej i wyborach do sejmu ustawodawczego, czyli konstytuanty. Ordynacja przewidywała wybory sześcioprzymiotnikowe (powszechne, równe, tajne, bezpośrednie, proporcjonalne i bez różnicy płci). Przewidziano sposób obliczania d'Hondta. Postanowienia tych dekretów Naczelnika Państwa odpowiadały ówczesnym nastrojom rządu Moraczewskiego, opartego o dwa stronnictwa lewicy, które obawiając się zmajoryzowania przez silną w całej środkowej i zachodniej Polsce prawicę, w proporcjonalności szukały przed tym niebezpieczeństwem gwarancji. Że obawy te były z ich punktu widzenia słuszne dowodzą wyniki wyborów sejmowych, odbytych 26 stycznia 1919 r. na obszarze byłej Kongresówki i środkowo-zachodniej Małopolski. Wskutek bowiem trwających jeszcze działań wojennych z reszty obszarów powołano posłów wybranych do parlamentów zaborczych. Na 524 posłów, którzy tworzyli razem sejm ustawodawczy wybory wyłoniły dziewięć stronnictw polskich większych i dwie małe grupy. Przedstawicielstwo mniejszości narodowych przedstawiało się podobnie.

Liczba dziewięciu stronnictw jest duża, zbyt duża, jednak w rzeczywistości tylko pięć stronnictw było poważnymi i trwałymi grupami. Jak na państwo o tak skomplikowanej strukturze politycznej i społecznej, jak na pierwszy parlament nie jest to dowód jakiegoś chorobliwego „rozproszkowania", „niezliczonej" ilości partii i wszelkie biadania w tym względzie grzeszą grubą przesadą. Porównanie choćby z parlamentem małego Izraela wychodzi stanowczo na naszą korzyść.

Największe, bo liczące 108 posłów, wkrótce jednak (w marcu 1920 r.) osłabione przez rozłam 23 posłów Wyzwolenia ze Stolarskim, Woźnickim, Poniatowskim na czele, było Polskie Stronnictwo Ludowe, któremu przewodzili Witos i Bojko.

Drugie co do liczebności było ówczesne Stronnictwo Narodowe, reprezentowane przez 71 posłów Związku Ludowo-Narodowego. Roman Dmowski i Wojciech Trąmpczyński, chociaż obaj z obozu narodowego do żadnego klubu nie należeli. Miało ono w przeciwieństwie do ludowców szereg posłów z wszystkich dzielnic, znanych z pracy polskiej w parlamentach obcych.

Byli tam m.i. Seweryn Czetwertyński, Władysław Grabski, Michał Bojanowski z Kongresówki, Władysław Seyda, Wojciech Korfanty, ks. Tadeusz Styczyński z Wielkopolski i Śląska, prof. Stanisław Głąbiński, Aleksander Skarbek i Jan Zamorski z Małopolski, wszyscy o dużym doświadczeniu parlamentarnym.

Reprezentujący bardziej prawicowe koła narodowe Klub Narodowego Zjednoczenia Ludowego, pod przewodnictwem dr Dubanowicza, liczył 71 posłów,wśród których arcybp Teodorowicz, ks. Londzin, Skulski i Sołtyk stali na czele. Do klubu tego zbliżony też był Paderewski.

Centrum było słabe i rozbite. Największą grupą był tam Narodowo-Chrześcijański Klub Robotniczy (29 posłów) z ks. ks. Adamskim i Kaczyńskim na czele. Bardziej zachowawczy Klub Pracy Konstytucyjnej liczył już tylko 18 posłów, Zjednoczenie Mieszczańskie 13 posłów i Polskie Katolickie Stronnictwo Ludowe 5 posłów.

Na lewicy radykalniejszym od stronnictwa Witosa była grupa PSL-lewica w liczbie 11 posłów, tworzących osobny klub ze Stapińskim, Śliwińskim i Putkiem. Blisko nich stała mała grupka ks. Okonia i Dąbala, licząca zaledwie dwóch, choć głośnych z demagogicznych wystąpień posłów. Narodowe Koło Robotnicze z 14 posłami nie miało wybitniejszych osobistości, natomiast Związek PPS liczący tylko 35 posłów, odgrywał dużą rolę dzięki posiadaniu w swym gronie wybitnych parlamentarzystów, jak Daszyński, Lieberman, Diamand, Niedziałkowski i Pużak.

Wydaje się, że nie osławione „rozbicie“ partyjne, a raczej równowaga między lewicą i prawicą była największą wadą strukturalną pierwszego sejmu. Dawała ona bowiem małym grupom centrowym, najbardziej płynnym i przypadkowym, decydujący głos. Większość też rządów tego okresu o grupy centrowe, z ich powiązaniami pozaparlamentarnymi, była oparta. Z drugiej strony równowaga ta miała dodatni wpływ na łagodzenie krańcowości nieuniknionych w chwilach odbudowy państwa. W obecnym parlamencie brytyjskim odczuwa się właśnie brak ruchomego środka i są głosy żądające umożliwienia pojawienia się mniejszych grup centrowych.

„Równowaga“ sejmowa odbiła się najbardziej wyraziście na konstytucji, która miała charakter eklektyczny i kompromisowy. Pracę konstytucyjną rozpoczęto „ankietą“ profesorską, pod przewodnictwem prof. Bobrzyńskiego, w lutym 1919 r. „Ankieta“ uzgodniła, zapewne pod silnym wpływem przewodniczącego, projekt ustroju na wzór amerykański. Dyskusja jednak, jaka się nad tym projektem i nad deklaracją referowaną przez min. Wojciechowskiego rozwinęła w sejmie w maju tegoż roku wykazała, że projekty te nie odpowiadają żadnemu z ugrupowań. Ponowny projekt, wniesiony przez rząd Paderewskiego w listopadzie 1919 r. (przewidujący system jednoizbowy, wybór głowy państwa w głosowaniu powszechnym) został zmieniony przez rząd Skulskiego w styczniu 1920 r. On stał się podstawą prac komisji konstytucyjnej sejmu obradującej pod przewodnictwem dr Dubanowicza, wybitnego znawcy prawa politycznego. Na plenum sejmu projekty weszły w lipcu 1920 r., a rozpatrywanie ich uległo odroczeniu wskutek inwazji bolszewickiej.

Przy uchwalaniu ustroju stosunkowo łatwo uzgodniono, że nie eksperymenty (jak np. projekt prof. Buzka), lecz doświadczenia własne i krajów demokratycznych a kulturalnie bliskich, stać się powinny podstawą dyskusji. Przykład jaśniejącej wówczas pełnym blaskiem zwycięstwa Francji nasuwał się tu nade wszystko. Zrezygnowano z nienadających się już do naśladowania form ustrojowych dawnej Rzeczypospolitej, zachowując jednak ducha wolnościowego i demokratycznego, częściowo i terminologię.

Najbardziej sporne okazały się sprawy jedno i dwuizbowości parlamentu, sposobu wyboru głowy państwa, stosunku do religii, w szczególności do Kościoła katolickiego i stosunku do mniejszości narodowych.

Lewica bez wyjątku przeciwna była senatowi, widząc w drugiej izbie czynnik konserwatywny. Centrum było podzielone i zmieniało zdanie. Prawica, z obozem narodowym na czele opowiedziała się za dwuizbowością wychodząc z założenia, że istnienie izby obieranej przez starsze grupy ludzi konieczne jest w dobie skrajnego radykalizmu i tendencji wywrotowych wywołanych przede wszystkim przykładem sąsiednich Sowietów. Jak wielką wagę przywiązywano do tego świadczy ciekawy szczegół, że na głosowanie w sprawie senatu, 27 stycznia 1921 r. przybył Roman Dmowski nie biorący udziału w pracach sejmu ze względu głównie na zdrowie.

Sprawą stosunku do Kościoła oraz zagadnieniami mniejszości narodowych, jako że oba te problemy wyglądają dziś zupełnie inaczej zajmować się w tym artykule nie będziemy.

Kwestia, która często wraca na łamy prasy w dzisiejszej publicystyce, to sprawa wyboru i uprawnień głowy państwa oraz zagadnienie silnego rządu. Słyszy się przy tym zdanie, że uprawnienia prezydenta ograniczono jedynie ze względu na ustosunkowanie się prawicy do naczelnika państwa, Piłsudskiego. Nie jest to zupełnie ścisłe, choć prawdą jest, że i to brano pod uwagę. Urząd Prezydenta R.P., przewidziany przez konstytucję marcową, nie był bynajmniej jakimś unikatem, spreparowanym od hoc ze względów personalnych. Jest on natomiast utworzony na wzór prezydenta francuskiego, z niewielkimi tylko odmianami. I nie przepisy ograniczające możność sprawowania naczelnego dowództwa w czasie wojny (co logicznie wiąże się z konstytucyjną odpowiedzialnością ministrów), ale brak prawa inicjatywy ustawodawczej i możności przedterminowego rozwiązywania izb ustawodawczych stały się najbardziej krytykowanymi postanowieniami.

Konstytucja 17 marca 1921 r., poczynając od wstępu pióra ks. Kazimierza Lutosławskiego, w tradycji nawiązywała do dawnej Rzeczypospolitej, w szczególności do 3 maja, w treści ustrojowej zbliżona była do wzorów francuskich. Jak każde dzieło kompromisu nie zadowalała w pełni nikogo i wkrótce stała się przedmiotem krytyki. Trzeba jednak pamiętać, że jej ostateczny tekst był o wiele lepszy od pierwotnie projektowanego, że przy jej uchwaleniu należało się liczyć nie tylko z teoriami politycznymi, lecz i z rzeczywistością w postaci praw dzielnicowych, ustawodawstwa przedkonstytucyjnego przesądzającego pewne urządzenia, a nawet z zobowiązaniami miedzynarodowymi.

Jak dalece zdawano sobie sprawę z kompromisowości konstytucji świadczy przemówienie marsz. Trąmpczyńskiego, który przy jej uchwaleniu wypowiedział nie tylko przekonanie swojego obozu. Powiedział on m.i.:

„Konstytucja posiada niewątpliwie błędy, które wkradły się w atmosferze walki, w jakiej się rodziła. Błędów tych nie będzie trudno usunąć, bo mamy przeświadczenie, że zawsze w polskim sejmie i senacie znajdzie się znaczna większość, której jedynym drogowskazem będzie dobro Ojczyzny. Obyście zawsze pamiętali, że państwo to pewność życia, wolność mienia, to praworządność i sprawiedliwość“.

W art. 125 przewidziano również, że drugi sejm będzie mógł dokonać rewizji konstytucji mniejszą większoś-

cią, bo tylko trzech piątych, w przeciwieństwie do ustalonej ogólnie zasady dwóch trzecich głosów, przy obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. W rzeczywistości z tej „ulgowej" możliwości skorzystano przy poprawieniu konstytucji w 1926 r.

Postanowienia małej konstytucji z lutego 1919 r. dawały prawne podstawy do sejmowładztwa w ciągu dwóch i pół lat. Jak wobec tego przedstawiał się stosunek sejmu do rządu i wzajemnie? W okresie tym było sześć gabinetów, w tym Paderewskiego urzędujący blisko rok i Obrony Narodowej Witosa — przeszło rok. Bardzo krótki żywot miały rządy Grabskiego z lipca 1920 r., który ustąpił wskutek sytuacji wojennej wymagającej rządu jedności narodowej i rządu Śliwińskiego, który był jedną z prób rządzenia przeciw większości sejmowej. Tu znów trzeba dodać, że rządy zmieniały się, wielu zaś ministrów zwłaszcza fachowych, jak minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski lub gen. Leśniewski urzędowało w kolejnych gabinetach. Zmiany następowały najczęściej na stanowisku ministra skarbu, który miał najcięższe i najniewdzięczniejsze zadanie. W pewnej analogii do ustroju francuskiego istniała jednak większa ciągłość administracji, niż to ze zmian gabinetów dla powierzchownego obserwatora wydawać by się mogło.

Tylko w dwóch wypadkach za czasu sejmu ustawodawczego doszło do ostrego konfliktu w sprawie składu rządu. Pierwszy ostry konflikt wyniknął z krytyki polityki ministra skarbu Michalskiego, przeciw któremu wbrew poparciu sejmu wystąpił Piłsudski. Sytuacja była odwrócona — wotum nieufności nie wynikało z układu izby. W drugim wypadku powstała sytuacja bez precedensu, kiedy Piłsudski odmówił udzielenia misji tworzenia gabinetu wyznaczonemu przez sejm Korfantemu, zapowiadając przy tym swoje ustąpienie. Większość sejmowa ustąpiła, gdy upadł jej wniosek o wyrażenie wotum nieufności Naczelnikowi Państwa.

Gabinety tego okresu miały charakter bardziej fachowy niż parlamentarny. Składały się też niemal wyłącznie z przedstawicieli grup centrowych, z silniejszym udziałem lewego skrzydła.

Dużą dojrzałość polityczną wykazała Polska przez powołanie w chwili zagrożenia istnienia państwa w lipcu 1920 r. Rządu Obrony Narodowej, składającego się z przedstawicieli wszystkich zasadniczych kierunków polskiej myśli politycznej. Nazwisko Witosa weszło wtedy na stałe w sposób niewątpliwie zaszczytny do historii Polski. Ale nie tylko w składzie rządu, lecz również przez delegowanie szeregu uprawnień Radzie Obrony Państwa składającej się z naczelnika państwa Piłsudskiego, premiera Witosa, ministra spraw zagranicznych Sapiehy (potem kolejno Dąbskiego i Skirmuntta), ministra skarbu Grabskiego (potem Steczkowskiego i Weinfelda), ministra spraw wewnętrznych Skulskiego (potem Raczkiewicza), przedstawicieli sejmu w osobach Rataja (Kiernika), Dmowskiego (Głąbińskiego), Skulskiego (Dubanowicza), Barlickiego (Ziemięckiego), Chądzyńskiego (Fichny), Woźnickiego (Tabora), Czerniawskiego (Fichlińskiego), Federowicza (Baworowskiego), de Rosseta (Tomaszkowskiego) i Stapińskiego (Bochenka). Nazwiska w nawiasach są nazwiskami zastępców. Zwraca uwagę brak przedstawicieli mniejszości narodowych. Ponadto do Rady wchodziło trzech przedstawicieli wojska w osobach min. Sosnkowskiego, szefa sztabu gen. Rozwadowskiego i gen. Józefa Hallera.

Powstanie Rządu Obrony Narodowej obóz narodowy w sejmie powitał przemówieniem prof. Głąbińskiego, który wyraził przekonanie, że „główną podstawą naszej siły powinna pozostać siła narodu" i wyraził się, iż „Związek Ludowo-Narodowy wita zjednoczenie wszystkich sił narodowych, które objawiło się obecnie w utworzeniu gabinetu koalicyjnego".*)

Motyw zespolenia wszystkich sił narodowych dla obrony państwa będzie się odtąd powtarzał w chwilach wyjątkowych. Tkwi w tym przejaw instynktu narodowego, zdającego sobie sprawę z wielkości zadań, którym bez zespolenia sił nikt nie jest w stanie podołać.

*) Prof. Kumaniecki: „Najważniejsze dokumenty odnoszące się do odbudowania państwa polskiego", 1924 r.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 23)

POST SCRIPTUM

Bibliopolis, luty 53

Drogi Czytelniku,

Nigdy nie wiadomo, co wzbudzi Twoje szczególne zainteresowanie. Żaden chyba z moich listów nie miał takiego echa jak ostatni o migracjach przedhistorycznych. Element sensacyjności podróży tratwą przez Pacyfik? A może migracje interesują z natury rzeczy szczególnie emigrację? Dość, że miałem niespodziewane echa z różnych stron, a także zastrzeżenia i wątpliwości. Skłania mnie to do powrócenia do tematu i wyjaśnienia bliżej paru ciekawych zagadnień.

Na wstępie przyznaję się do pomyłki, którą delikatnie wytyka mi p. Michał Pawlikowski: faraon, który wprowadził kult słońca nosił imię nie Tutankhamon ale Amenhotep czyli Akhenaten.*) Nie ma to wpływu na istotę poruszonych spraw, ale omyłki takie należy prostować, co niniejszym czynię.

A teraz sprawa możliwych wątpliwości. Czy mamy jakiekolwiek ślady, by bi.ali ludzie w odległej przeszłości przekroczyli w większej liczbie Atlantyk ze starego świata ku nowemu. Owszem mamy: na Wyspach Kanaryjskich. Od nich właśnie zaczyna się prąd passatowy, który unieść może tratwy do Indii Zachodnich. Otóż kiedy pierwsi europejscy żeglarze w średniowieczu (najpierw Normanowie a potem Hiszpanie) dotarli do Wysp Kanaryjskich, zastali tam ludność mieszaną. Część mieszkańców byli to ludzie biali, jasnowłosi, niebieskoocy, o orlich nosach, brodaci. Są nawet akwarele z szesnastego wieku przedstawiające sceny z życia tubylców kanaryjskich tak właśnie odmalowanych. Z opisów wiemy, że tubylcy ci nie używali narzędzi metalowych, czyli cywilizacja ich była „neolityczna" i że mumifikowali swoich zmarłych.

Mumifikowanie zmarłych praktykowali także Majowie i Inkowie, przejęli je od swoich legendarnych białych nauczycieli. Istniała ta sztuka także w Polinezji, ale i tam zanikła stopniowo. Mumie Środkowej i Południowej Ameryki przechowały się do naszych czasów. I tu coś, co najbardziej przemawia do wyobraźni. Najstarsze z nich są wyraźnie nie-indiańskie. Heyerdahl reprodukuje je w swojej książce. Mumie te są długogłowe i jasnowłose. Włosy ich są miękkie i faliste jak włosy ludzi z basenu Morza Śródziemnego, a nie sztywne i czarne jak włosy Indian. Zaplecione w piękne warkocze są to włosy blondynów, rudych, szatynów lub brunetów.

W Jukatanie zachowały się w zarosłych dżunglą świątyniach majańskich freski przedstawiające zwycięstwo Majów nad wrogami. Majowie przedstawieni są na nich jako ciemnoskórzy z piórami we włosach, wrogowie są biali a raczej lekko kremowi z jasnożółtymi włosami upiętymi wysoko nad głową. Bronią się oni, uciekają na łodzie, składani są na ofiarę bogom.

Zachowały się także rzeźby przedstawiające najdawniejszych bohaterów czy władców amerykańskich. Są one dziełami sztuki bez porównania wyższej od tej jaką zastali Europejczycy w końcu XV wieku. Głowy tych wodzów nie mają rysów indiańskich. Raczej na pierwszy rzut oka najczęściej jakby semickie: orle nosy, wielkie oczy, długie twarze bez wystających kości policzkowych.

Od tych cech antropologicznych ważniejsze jeszcze wydają się tradycje kulturalne. Najstarsze legendy meksykańskie mówią, że bogowie przyszli na ziemię zza wschodniego oceanu. Heyerdahl zestawia wierzenia polinezyjskie ze starożytnymi amerykańskimi i przez porównanie tekstów udowadnia, że źródłem są amerykańskie. Jakież to wierzenia? Po stworzeniu świata na ziemi panowały ciemności. Dopiero później ktoś (różne tradycje przypisują to różnym bogom czy półbogom) stworzył słońce, księżyc i gwiazdy. Znacznie silniejsza i wyraźniejsza jest tradycja potopu. Potop trwał dni sześćdziesiąt, morze pochłonęło ląd. Ocaliła się tylko garstka ludzi, którzy wsiedli na pływający dom. Przyczyną potopu był gniew boga czy bogów. Jeszcze dziwniejsza jest legenda o wodzu prowadzącym swój lud przez pustynię. Uderza on magiczną laską w skałę i wywołuje źródło, potem prowadzi lud po wierzchu fal morskich. W niektórych legendach odgrywa rolę jego młodszy brat. Osądź sam czy jest prawdopodobne, by drogą przypadku mogły w dwóch punktach globu powstać niezależne od siebie takie tradycje.

Tyle o Atlantyku. A teraz coś o Pacyfiku. Zdumiewająco świeże pomniki megalitycznej cywilizacji znajdują się na Malajach, w Indochinach i w indyjskim Assamie u stóp Himalajów. Świątynie indochińskiej Kambodży pochodzą z X wieku naszej ery, malajskie nawet z XIV—XV wieku, a więc z czasów po podróżach Marco Polo. Zabytki te nie są podobne do polinezyjskich ale do meksykańskich i to nie najstarszych lecz do azteckich. Od zachodnich wybrzeży Meksyku płynie skosem poprzez Pacyfik prąd, który omija Polinezję i rozdziela się ku Filipinom i ku wyspom Indonezji.

Heyerdahl widzi aż trzy migracje pacyficzne z zachodu na wschód: najstarsza to migracia białych ludzi z Peru przez Wyspę Wielkanocna do Polinezji; druga to migracja Indian z północno-zachodniej Ameryki przez Hawaje do Polinezji, gdzie wchłonęli białą ludność i nadali dominujący typ fizyczny (dziesiątki fotografii w pracy Heyerdahla stwierdzają uderzające podobieństwo fizyczne i tożsamość wielu narzędzi a także motywów dekoracyjnych i architektonicznych); trzecia, najmniej liczna i najbardziej w czasie rozwleczona, to migracja Azteków do Australazji.

Ktoś zapytuje mnie także o owe tajemnicze „długie uszy" Synów Słońca. Kiedy Hiszpanie zajęli Peru zastali tam jeszcze (i odmalowali) zwyczaj zawieszania w ustach dzieci ciężkich kół, które sprawiają, że z czasem dolna część konchy wyciąga się w kształcie obwarzanka ku ramionom. Zwyczaj ten stosują do dziś dnia niektóre szczepy afrykańskie.

Dlaczego, możesz zapytać, ta właśnie cywilizacja megalityczna miała rozprzestrzenić się po całej ziemi? Dla tego samego powodu, dla którego po całej ziemi rozpowszechnił się język angielski, dla którego spotykamy Malajów od Afryki po Australię: była to cywilizacja ludu żeglarskiego. Zabytki jej spotykamy na wyspach i wybrzeżach kontynentów, nigdy prawie w głębi wielkich lądów. W Ameryce ciągną się one od wybrzeży Morza Karaibskiego poprzez Przesmyk Panamski do Chile, zawsze w krajach pobrzeżnych.

Ale dlaczego źródłem cywilizacji megalitycznej miałaby być właśnie Azja Przednia? Im więcej wiemy o dziejach cywilizacji, tym bardziej prawdopodobne się staje, że miała ona na ziemi jedno geograficzne źródło, że wyszła z jednej okolicy i że okolicą tą była Azja Przednia.

---

*) P. Pawlikowski nadsyła mi w swoim tłumaczeniu hymn do słońca odnaleziony na grobowcu tego faraona:

„Cudowne jest wstawanie Twoje na widnokręgu, Słońce żywe, któreś było na początku. Tyś jest Bóg, a promienie Twe ogarniają ziemię, którą zdałeś miłowanemu Twojemu synowi. Kiedy zapadasz na zachodzie, ziemię ogarnia ciemność, jakby umarła. Ludzie po izbach śpią nakrywszy głowy i niczyje oczy nie dopatrzą drugiego. Wtedy wychodzi z legowiska lew, wtedy wypełzają wszystkie gryzące gady.

Gdy zasię o świcie wstajesz i świecisz jako słońce we dnie, radują się obie krainy, a budząc się wstają na nogi, boś przecie powstał dla nich Ty. I obmywając się, a biorąc na się szaty, sławią Twoje wzejście rękoma. Pracuje cały kraj. Radują się zwierzęta po łąkach, zielenią się drzewa i trawy. Ptaki z gniazd wylatują, a kłaniają się Tobie skrzydłami. Wszystka dzika żywina przed Tobą pląsa, boć żyje skoro powstałeś dla niej. Okręty płyną w dół i w górę rzeki i wolna jest droga wszystka. Na rzece ryby pluskają przed Twym obliczem.

Ziemie i Syrii i Nubii i ziemie Egiptu — i człeka każdego Tyś ustanowił tam, gdzie jest i troskasz się o nie. Języki ich są rozmaite i ludzie rozmaici na oko. I skóry mają odmienne, boś ludzi uczynił różnymi. Puściłeś Nil na nizinę i prowadzisz go podle Twej woli, aby pomagał człowiekowi. Stworzyłeś Nil drugi na niebiosach aby się i na dalekie ludy opuszczał, a czynisz po niebie fale jak po morzu, aby deszczami spływały na ich pola i miasta.

Tyś jest w mym sercu, a niemasz nikogo kto by Cię poznał tak jako Twój syn, któremu dałeś, iż zrozumiał Twoje zamysły i poznał Twoją potęgę. Tyś sam jest życiem człowieka, a człowiek żyje w Tobie Obudziłeś je dla Twego syna, króla Górnego i Niźniego Egiptu, który żyje w prawdzie, syn Boga, pan dyademów, Akenaten, wielki w swoim trwaniu i dla żony jego miłowanej, pani obu krain, Nefernefrure Nefreteti, żywej i młodej zawsze i zawsze".

ROZSĄDEK ZWYCIĘŻA W SAARZE

Paryż, w lutym

PO 17 latach problem Saary znowu interesuje opinię światową a szczególnie Francję i Niemcy. Terytorium to będące na przestrzeni lat przedmiotem sporu i walki pomiędzy Francją i Niemcami było czynnikiem podsycającym nacjonalizm i rewizjonizm niemiecki w okresach kiedy od Niemiec odpadało, podstawą zaś siły gospodarczej w okresach gdy do nich należało.

Ostatnie wybory w Saarze, które zadecydowały przynajmniej na jakiś czas o jej przynależności gospodarczej do Francji są tylko jednym ruchem wahadła na zegarze historycznym tego obszaru. By przerwać ruch tego wahadła warunkowanego siłą jednej ze stron przyciągających, Francja jako państwo obecnie słabsze widzi jedynie wyjście w europeizacji Saary, wiążąc ją równocześnie z sobą gospodarczo.

Na mocy pokoju westfalskiego z 1648 r. Francja otrzymała — jak wiadomo — Metz, Verdun i Toul. W 1661 r. książę lotaryński cedował na rzecz Francji 30 wiosek nad rzeką Mozelą, obszar obejmujący dzisiejszą Saarę. Ludwik XIV poświęcił szczególną uwagę temu rolniczemu wówczas skrawkowi ziemi, budując nowe miasto i fortecę w Sarrelouis. Gospodarczo terytorium to kwitło pod rządami francuskimi aż do 1815 r., kiedy to pokój wiedeński większość obszaru Saary przyznał Prusom. Po wojnie prusko-fracuskiej w 1871 r. reszta Saary wraz z Alzacją i Lotaryngią przeszła do Prus i stała się największym i najbardziej skoncentrowanym ośrodkiem przemysłowym w świecie aż do pierwszej wojny światowej. Po pierwszej wojnie światowej pokojem wersalskim Francja otrzymała tytułem odszkodowania kopalnie węgla w Zagłębiu Saary i gospodarczo Saara została włączona do Francji. Politycznie rządy w Saarze sprawowała Komisja Ligi Narodów przy doradczym współdziale Rady Doradczej Saary pochodzącej

z powszechnych wyborów, a zatem składającej się z Niemców. W 1927 r. okupacyjne wojska francuskie wycofały się z Saary. W 1935 r. zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego odbył się w Saarze plebiscyt, w którym 90% wyborców opowiedziało się za przyłączeniem Saary do Niemiec. Hitler przyłączając Saarę zgodził się na wykup kopalni węgla, które wszystkie należały do Francji. Po ostatniej wojnie francuski zarząd wojskowy w 1945 r. (po krótkim zarządzie amerykańskim) objął administrację Saary, rządząc na zasadach okupacyjnych. W 1947 r. w pierwszych po wojnie wyborach do sejmu krajowego, w których brało udział 96% uprawnionych do głosowania wyborców partia chrześcijańsko - ludowa otrzymała 51.2%, partia socjalno-demokratyczna 33%, demokratyczna partia Saary 7.6%. partia komunistyczna 8.4%. W wyniku wyborów powstał rząd koalicyjny z premierem Hoffmanem, założycielem i prezesem partii chrześcijańsko-ludowej. Wybrany sejm uchwalił konstytucję, którą rządzi się do dzisiaj. Ustał ścisły zarząd wojskowy, a komendant francuskiego zarządu wojskowego płk Grandval przyjął tytuł Wysokiego Komisarza. W 1952 r. po podpisaniu nowego układu pomiędzy rządem francuskim a rządem Saary płk Grandval został zamianowany pierwszym ambasadorem Francji przy rządzie Saary. To posunięcie francuskie wywołało burzę protestów ze strony rządu w Bonn, który tłumaczył ten krok usiłowaniem nadania Saarze przez Francję cech kraju niezależnego.

Politycznie Saara nie należy ani do Francji, ani do Niemiec. Nie posiada nad sobą międzynarodowego zarządu, jak było między wojnami, nie jest też krajem suwerennym. Rząd Saary kieruje polityką wewnętrzną, lecz nie całkowicie. Sprawy zagraniczne prowadzi rząd francuski. Gospodarczo Saara jest objęta francuskim obszarem celnym, waluta i system podatkowy są francuskie. Kopalnie węgla będące w Saarze zawsze własnością państwa, są wydzierżawione przez rząd francuski.

Przyczyna, dla której Saara była od chwili powstania przemysłu węglowego i stalowego przedmiotem walki pomiędzy Niemcami i Francją jest prosta. Przynależność Saary do Niemiec tak wzmacnia ich potencjał przemysłowy, że pozwala im na zajmowanie roli dominującej w Europie, przynależność zaś Saary do Francji wyrównuje różnicę pomiędzy potencjałami gospodarczymi francuskim i niemieckim i zmusza Niemcy do liczenia się z sąsiadami. Na przykład w 1952 r. francuska produkcja węgla wynosiła 52.968 tys. ton, niemiecka 118.290, Saary 16.128. Produkcja stali w 1952 r. wynosiła we Francji 9.840 tys. ton, Niemiec 13.500, Saary 2.804. Jak z powyższych cyfr wynika w dziedzinie stali Francja posiadając Saarę jest siłą w Europie równą Niemcom. Na 1956 r. przewidziane jest podniesienie produkcji węgla w Saarze do 19 miln ton rocznie. Z uwagi na swoje położenie Saara zaopatruje w węgiel Luksemburg, Szwajcarię, Austrię. W 1951 r. na 16 miln ton wydobytego węgla na potrzeby Saary zużyto 4.460 tys. ton, do Francji wywieziono 4.202, do Niemiec Zachodnich 3.140.

Po przemyśle węglowym i związanych z nim drobnych przemysłach pochodnych na drugim miejscu znajduje się przemysł stalowy, pomimo że Saara nie posiada rudy żelaznej. W 1951 r. przetopiono w hutach Saary 5.406 tys. ton rudy pochodzącej w całości z pobliskiej Lotaryngii. W 1951 r. na potrzeby własnego przemysłu zużyto 36% wydajności hut, 39% zabrała Francja, tylko 3% eksportowano do Niemiec. Przemysł lekki jest również w Saarze dobrze rozwinięty, w szczególności elektryczny, chemiczny i ceramiczny.

Pod względem ekonomicznym Saara jest obecnie w okresie pełnego rozkwitu. Chociaż 80% kopalń i zakładów zostało zniszczonych w czasie wojny, to administracja francuska w stosunkowo krótkim czasie, włożywszy dużo wysiłku oraz pieniędzy własnych i amerykańskich, puściła w ruch cały aparat produkcyjny. W Saarze jest tylko 1.3% bezrobotnych. Na urządzenia i potrzeby socjalne rząd Saary przeznacza aż 50% budżetu. O stopie życiowej mieszkańca Saary a także jego niechęci do powrotu w granice Niemiec świadczy fakt, że przeciętny czysty dochód miesięczny górnika w Saarze wynosi 128 dolarów, gdy górnika niemieckiego w Zagłębiu Ruhry 78 dolarów.

Przemysł Saary nie mając przeszkód celnych znajduje łatwy rynek zbytu na terenie Francji i jej posiadłości, z drugiej strony może korzystać z surowców francuskich, w tym wypadku rudy żelaznej, bez żadnych ograniczeń. W ramach Niemiec przemysł węglowy Saary źle się czuł z powodu konkurencji Ruhry, której lepszy węgiel miał chętniejszych nabywców i łatwiejszy był w dostawie. Przemysł zaś stalowy zależny od dostaw francuskiej rudy nie mógł być konkurencyjny, przy czym dowożenie rudy własnej niewiele obniżało koszty produkcji.

Na tle przeszłości politycznej Saary oraz jej problemów gospodarczych można należycie oceniać ostatnie wyniki wyborów do sejmu krajowego, które dla wielu, przede wszystkim dla rządu w Bonn były nieprzyjemną niespodzianką. W wyborach wzięło udział 93% uprawnionych do głosowania. Zwyciężyła znowu partia chrześcijańsko-ludowa — 55%, partia socjalno-demokratyczna — 33%, demokratyczna partia Saary — 3%, komuniści — 9%. Na 93% oddanych głosów 25% unieważniono. Były to bądź kartki posiadające braki formalne, co zawsze się zdarza, bądź kartki białe demonstracyjnie oddane przez tych, którzy chcieli w ten sposób wyrazić chęć powrotu Saary do Niemiec. Jeśli się zważy, że w 1935 r. 90% wyborców opowiedziało się podczas plebiscytu za powrotem Saary do Niemiec, to obecny procent białych kartek należy uważać za klęskę rewizjonistycznej polityki rządu w Bonn.

Kanclerz Adenauer starał się wykorzystać obecną dobrą koniunkturę polityczną i usiłował przeciwdziałać procesowi coraz silniejszego wiązania się Saary z Francją. Propozycje niemieckie wysunięte wobec rządu francuskiego szły w następującym kierunku: europeizacja Saary winna być ograniczona tylko do lat 5; Saara winna być gospodarczo niezależna i nie związana unią celną z Francją, przy czym interesy francuskie w Saarze byłyby zabezpieczone w ten sposób, że Francja mogłaby nabywać każdą potrzebną jej ilość węgla od Saary; wybory w Saarze powinny być odroczone aż do czasu ustalenia jej nowego statusu według wyżej przytoczonych zasad. Oczywiście Francja uznała te propozycje za obraźliwe, więc nie mogły być one przedmiotem dyskusji. Wynik wyborów nie tylko utwierdził pozycję francuską w Saarze, ale osadził na jakiś czas przynajmniej dążenia rewizjonistyczne polityki niemieckiej.

Wiktor Zdrzałka

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

O KULISTEJ STRATEGII I RUCHOMEJ POLSCE

Czy to przez zbieg okoliczności, czy też, co więcej prawdopodobne, wskutek aktualnego położenia politycznego swoich krajów — ostatni przegląd amerykański spraw międzynarodowych obejmuje znacznie szerszy horyzont myślowy, niż współczesny mu, podobny przegląd brytyjski. Gdy styczniowe „Foreign Affairs" z Nowego Jorku*) stawiają na porządek dzienny problem zrewidowania dotychczasowego planowania strategicznego zimnej wojny i dociekają w jaki sposób praktyczny przejść od polityki powściągania Rosji do polityki oswobodzania krajów ujarzmionych, to londyńskie „International Affairs" z tegoż czasu**) ograniczają się do omawiania partykularnych spraw afrykańskich.

Od razu trzeba powiedzieć, że kierunek projektów rewizyjnych nie zapowiada się pomyślnie dla Europy, a niektóre pomysły nowatorskie w propagandzie zewnętrznej amerykańskiej wyglądają wręcz alarmująco i to szczególnie dla Polski.

Omówmy najpierw sprawy strategiczne. Ogólną tendencją w nich jest przesunięcie dotychczasowego punktu ciężkości z Europy na Azję, a ściślej bardziej równomierne rozłożenie uwagi na potrzeby strategiczne obu kontynentów. Argumentacja pisarzy, którzy się tym problemem zajmują (W. Millis: „Problemy wojskowe nowego rządu Stanów Zjednoczonych"; H. F. Armstrong: „Świat jest okrągły"; A. J. Toynbee: „Osaczenie Zachodu", ten ostatni włączył się do argumentacji raczej mimowolnie) sięga głęboko i jest, według mnie, zupełnie słuszna.

Planowanie strategiczne Ameryki wciąż nie jest dostosowane (w odróżnieniu od planowania sowieckiego) — mówi Armstrong — do faktu kulistości globu. Nie wyciąga się właściwych wniosków z tego, że sprawy Azji mają ścisły związek ze sprawami Europy. Naszą obronność w Europie podcina wojna w Indochinach, która drenuje Francję i nie pozwala na skompletowanie sił nad Renem. Rosję flankuje się równie dobrze przez zajęcie pozycji w Skandynawii i na Środkowym Wschodzie, jak przez usadowienie się na Alasce — Syberii i na półwyspach Azji południowo-wschodniej. Jedna i druga para flankowania łączy się z sobą, co dawno już pojęli Rosjanie. Stąd wniosek, że nie można degradować ważności jednych obszarów na korzyść innych.

Toynbee, mówiąc zresztą na inny temat (mianowicie wykłada on teorię periodycznego osaczania Zachodu przez Wschód w ciągu historii i mniej licznych prób odwetowych Zachodu), wspiera skutecznie Armstronga za pomocą świetnego ujęcia zmian, jakie zaszły ostatnio w ocenie warunków przestrzennych:

„Obecnie — pisze on — świat stał się „okrągły" zarówno w zakresie strategii i polityki, jak i zwykłej nawigacji. Przed drugą wojną światową powierzchnia globu dla strategii nie była jeszcze kulista. Dla tych nieprzyjemnych celów była to jeszcze wówczas wciąż tylko podłużna płaszczyzna z krawędziami, a świat, który jeszcze nie wyplenił wojen, był bezpieczniejszym miejscem zamieszkania gdy miał jakieś krawędzie, mogące posłużyć walczącym za oparcie, niż gdy stał się ciągłą płaszczyzną kulistą bez żadnych krawędzi. W tym nowym świecie bowiem, każdy kogoś wciąż okrąża i każdy jest przez kogoś okrążany. Innymi słowy, Rosja, która jak nam się wydaje, okrąża nas na całym horyzoncie, sama widzi się podobnie okrążana przez nas".

Przeciw argumentacji Armstronga występuje głośny Chester Wilmot w artykule pt. „Gdyby NATO miało wystąpić do walki", który broni tezy, że teatr europejski pozostaje nadal obszarem strategicznie decydującym, ponieważ ewentualna porażka w Europie wstrząsnęłaby podstawami całości systemu obronnego przeciw komunizmowi.

Omówiona wyżej dyskusja, mimo, jak się rzekło, słuszności zdania amerykańskiego co do sedna rzeczy, nie może być zbyt przyjemna dla Europejczyka, ale przecież nie alarmuje tak, jak to czyni Armstrong, gdy zwraca się ku sprawom politycznym. Mówi on zrazu pięknie, że Ameryka podejmie kontrofensywę polityczną, mającą za cel pokojowe odepchnięcie Rosji do jej granic właściwych, to jest tych, które miała zanim zawarła pakt rozbioru Polski z Niemcami hitlerowskimi. „Jest to dlatego absolutnie konieczne, że dopóki wojsko rosyjskie stoi w sercu Europy, dopóty nie będzie pokoju na świecie, a w konsekwencji — dopóty nie będzie można odwołać żołnierza amerykańskiego do ojczyzny". Ale jak to zrobić? Jedyny sposób, to pobić Sowiety lepszą propagandą. I tu podaje próbki tej propagandy: w stosunku do Polaków należałoby ją oprzeć na obietnicy zwrotu Polsce Małopolski wschodniej, anektowanej przez Stalina przy zachęcie Hitlera (przyp. sprawozdawcy: nie on jeden zachęcał; po Hitlerze przyszedł Churchill również z ofertą Lwowa dla Sowietów). „A gdy już tak postawimy sprawę — pisze dosłownie autor — dlaczegoby nie ostrzec Polaków i zapewnić Niemców, że świat będzie oczekiwał od Polski oddania (w oryginale: „regorge"!) Niemcom tych ziem rdzennie (essentially) niemieckich, którymi Stalin zrekompensował jej straty na wschodzie?" Następnie autor załatwia się krótko z ewentualnymi zastrzeżeniami Francji co do takiego wzmocnienia Niemiec, tłumacząc jej, że tak będzie w gruncie rzeczy również lepiej i dla Francji.

Uderza w pomyśle Armstronga nie tylko inicjatywa do ponownego przetoczenia Polski na wschód, ale i to, że zamilcza o Wilnie, a więc, jak się zdaje, o całej tzw. linii Curzona, wyimaginowanej swego czasu pod auspicjami Lloyda George'a, jako tymczasowej delimitacji Polski od Rosji, biegnącej od obszaru Lwowa przez Brześć i Grodno na północ, a następnie anulowanej międzynarodowo w 1923 r. przez uznanie granicy ryskiej. Czyżby pomysł Armstronga, mimo krwiożerczych w stosunku do Rosji pozorów, miał kryć w sobie zarodki nowego kompromisu kosztem Polski?

T. W.

*) Tom 31, zeszyt 2.
**) Tom 29, zeszyt 1.

KURS DZIEJÓW POROZBIOROWYCH

Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Marian Kukiel: KURS DZIEJÓW POROZBIOROWYCH POLSKI. Czasy walk zbrojnych o przywrócenie państwa. 1795 - 1865. Londyn 1953. Stron 176.

Książka stanowi streszczenie 25 wykładów gen. Kukiela na PUNO. Słowo „uniwersytet" nie powinno tutaj wprowadzać w błąd: „Kurs dziejów porozbiorowych" nie ma charakteru podręcznika uniwersyteckiego. Jest to opracowanie popularne, utrzymane raczej w stylu podręczników szkolnych dla klas wyższych, jak przedwojenny Lewicki. Na zakończenie każdego wykładu podane są jakieś przykłady dokumentów historycznych.

Powyższe nasze stwierdzenie nie jest krytyką autora lecz raczej zbyt pompatycznego tytułu, jaki nadano kursom wieczorowym przedmiotów ojczystych, czy też wolnym wykładom uniwersyteckim w Londynie. Na prawdziwy uniwersytet nie stać nas na emigracji, bo nie stać nas ani na prawdziwych profesorów, zajmujących się wyłącznie pracą naukową, ani na prawdziwych studentów, zajmujących się głównie nauką na polskim uniwersytecie. Wolne wykłady są rzeczą bardzo pożyteczną i należy do nich odnosić się z życzliwością i uznaniem, nie należy jednak bawić się w teatr wyobraźni i nazywać tego uniwersytetem.

Pierwszy wykład doc. Kukiela stanowi bardzo sumaryczny pogląd na to, co stało się od końca średniowiecza do rozbiorów (prof. Paszkiewicz wykłada historię średniowiecza, wykładu historii Polski jagiellońskiej i elekcyjnej brak). Właściwy wykład zaczyna się od reakcji Europy na rozbiory Polski. Pięć wykładów obejmuje ostatnie pięciolecie wieku XVIII, sześć — okres wojen napoleońskich, pięć — dzieje Królestwa Kongresowego, sześć — okres wielkiej emigracji, dwa — dobę przedpowstaniową i powstanie styczniowe.

Autor kładzie główny nacisk na historię polityczną, opierając się częściowo na własnych studiach. Wykład jest jasny i przystępny. Powołując się na literaturę gen. Kukiel wskazuje najczęściej, czy i gdzie dane dzieło dostępne jest na emigracji. Cenna to wskazówka dla studiujących.

„Kurs dziejów porozbiorowych" może być bardzo pożyteczny dla dorastającej na emigracji młodzieży. Kto wie, czy nie przyda się kiedyś i dla dorastającej młodzieży w kraju, gdzie może nie być żadnego nowoczesnego niekomunistycznego opracowania historii tego okresu.

ARTYKUŁY IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO

Ignacy Matuszewski. Wybór pism Instytut Józefa Piłsudskiego. Nowy Jork — Londyn 1952. Stron 295.

Ignacy Matuszewski był najinteligentniejszym publicystą wśród piłsudczyków, okazywał się dobrym krytykiem literackim ilekroć zdarzało mu się pisać o literaturze pięknej, i nieświetnym ministrem skarbu. Najlepsze bodaj jego artykuły polityczne pojawiły się w połowie okresu drugiej wojny światowej. Cykl „Wola Polski" miał szeroki oddźwięk w latach 1941—44, gdy toczyła się walka o samodzielność polityki polskiej przeciw Sikorskiemu i Mikołajczykowi. Artykuły Matuszewskiego ukazujące się wówczas w Ameryce i Anglii czytywane były z uznaniem nie tylko przez zwolenników jego kierunku politycznego. Ignacy Matuszewski zmarł w Stanach Zjednoczonych w połowie r. 1946.

Po jego śmierci wśród Polonii amerykańskiej zebrano fundusz na wydanie pism zmarłego. Przyjaciele polityczni Matuszewskiego dokonali wyboru artykułów z okresu wojennego (1941-1946). W opublikowanym obecnie tomie znajduje się 46 artykułów dziennikarskich.

Proza Matuszewskiego jest bardzo silna w wyrazie, styl aforystyczny ze skłonnością do patosu. Przy bardzo logicznym rozumowaniu przewaga argumentów uczuciowych. Język czysty i zwarty. Zaletą publicystyki Ignacego Matuszewskiego była jej zwięzłość i wyrazistość, wadą, której nie zauważa się czytając jeden krótki artykuł, ale która razi przy czytaniu zbioru artykułów, — retoryczność stylu, pewna monotonia w powtarzaniu zwrotów. W sumie jest to publicystyka wysokiej klasy.

TEMATY POLSKIE W AMERYCE

Journal of Central European Affairs. October 1952.

Ostatni tom kwartalnika amerykańskiego poświęconego zagadnieniom środkowo-europejskim a redagowanego przez prof. Harrisona Thomsona z uniwersytetu Colorado, przynosi kilka prac na tematy polskie. P. K. Dziewanowski pisze o rewolucji r. 1905 i ruchu marksistowskim w Polsce, omawiając szczególnie rolę „Proletariatu" i socjal-demokracji jako prekursorów komunizmu. Sporo materiału źródłowego.

P. Zygmunt Zaremba ogłasza drugą część swego studium o przemianach społecznych w Polsce pod bolszewikami. Część ta traktuje o „nowej klasie rządzącej", to jest biurokracji partyjnej i państwowej typu sowieckiego. Autor rozpatruje rzecz, oczywiście, z punktu widzenia socjalistycznego.

Prof. Harrison Thomson poświęca wspomnienie profesorowi Władysławowi Konopczyńskiemu, do którego przyjaciół się zalicza. Poza zwięzłymi ale wyczerpującymi danymi bibliograficznymi wspomnienie to daje charakterystykę człowieka „głębokich przekonań, odważnego obrońcy tego, co uważał za słuszne i sprawiedliwe".

W przeglądzie wydawnictw V. S. Mamatey omawia książkę prof. O. Haleckiego „Borderlands of Western Civilisation", S. Harrison Thomson „Studia dziejów kultury" wydane w r. 1949 u Gebethnera i Wolffa przez Barycza i Hulewicza (praca zbiorowa kilkunastu uczonych), V. J. Puryear pracę Jerzego Lenczowskiego „The Middle East in World Affairs", a J. Somogyi opracowanie Zierhoffera, Lehr-Spławińskiego, Szczanieckiego i Wojciechowskiej o roli rzek w historii Polski, wydane pod redakcją prof. P. George'a z Paryża pod tytułem „Les fleuves et l'evolution des peuples".

ODCZYT GEN. SOSNKOWSKIEGO

Kazimierz Sosnkowski: SYTUACJA ŚWIATOWA NA TLE AGRESJI SOWIECKIEJ. Instytut Józefa Piłsudskiego. Londyn 1953. Stron 30.

W lipcu roku ubiegłego gen. Kazimierz Sosnkowski miał dłuższy odczyt w brazylijskiej akademii wojskowej w Rio de Janeiro na temat przygotowań i możliwości wojennych Sowietów oraz stosunku do nich państw zachodnich, w pierwszym rzędzie polityki amerykańskiej. Odczyt ten z pewnymi skrótami i aktualnymi uzupełnieniami powtórzył w Londynie w grudniu w Instytucie Piłsudskiego. W tej formie wydano go obecnie jako broszurę.

Część pierwsza odczytu obnaża różne złudzenia pojawiające się na Zachodzie, część druga zestawia siły i pozycje Zachodu i Wschodu, trzecia głosi tezę, że trzecia wojna światowa już się rozpoczęła, i zimna wojna nie może

się skończyć inaczej jak pełną wojną. Za rok krytyczny autor zdaje się uważać rok 1954.

AUTOBIOGRAFIA

Tomasz Dobrzyński: PROBOSZCZ ŚLĄSKI. Wspomnienia. Wydane na prawach rękopisu. Londyn 1952. Stron 151.

Książeczka ta jest rodzajem autobiografii kapłana katolickiego rodem ze Śląska doprowadzonej do r. 1939. Pisana dobrodusznie i bezpretensjonalnie nie zawiera nic ciekawego ani historycznie, ani socjologicznie, ani psychologicznie. Cel jej wydania nie jest całkiem jasny. Być może łączy się z jubileuszem kapłaństwa, lub tp.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

POLONIA W CHICAGO DMOWSKIEMU

(NBI) Ponad 300 osób wypełniło po brzegi salę Macierzy Polskiej w Chicago na wieczorze poświęconym pamięci Romana Dmowskiego w 14 rocznicę jego zgonu. Zebranie odbyło się w niedzielę 18 stycznia staraniem miejscowego Koła Stronnictwa Narodowego.

Przewodniczył mec. Jan Optat Sokołowski. Po zagajeniu odczytano depesze z wyrazami najwyższego uznania dla zasług Dmowskiego, nadesłane przez prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej mec. Karola Rozmarka i gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Inwokację wygłosił ks. Franciszek Domański z zakonu oo. jezuitów. Główne przemówienie na temat „Roman Dmowski w świetle swoich idei" wygłosił przybyły z Nowego Jorku mec. Franciszek Szwajdler. O wspomnieniach ze współpracy z Dmowskim i Paderewskim w okresie pierwszej wojny światowej mówił red. Zygmunt Stefanowicz, który był ostatnim sekretarzem Wydziału Narodowego. P. Stefanowicz, redaktor organu Zjednoczenia Polskiego Rzymskokatolickiego „Naród", złożył zarazem słowa uznania dla polityki Dmowskiego imieniem chorego prezesa Zjednoczenia p. Józefa Kani.

W części literacko-artystycznej p. Elżbieta Dziewońska odczytała wyjątek z kazania ks. prał. Aleksandra Syskiego, wygłoszonego w r. 1939 w kościele św. Heleny w Chicago podczas uroczystości żałobnych. Wystąpili także pp. Antoni Trzaskowski, Irena Franuszkiewicz, Leszek Chobot i prof. Astor. Wieczór zakończono odśpiewaniem hymnu narodowego.

W skład komitetu obchodu weszli z Polonii amerykańskiej ks. prał. Bernard Szudziński, mec. Jan Rybicki, red. Zygmunt Stefanowicz i Jan Szymański komendant 5 Placówki Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej. Z nowej emigracji pp. mec. Witold Borysiewicz, Antoni Dziadek, red. Jerzy Przyłuski, mec. Jan Optat Sokołowski i dr Wieńczysław Wagner.

Wieczór poprzedziło nabożeństwo żałobne w kościele św. Trójcy. Kazanie wygłoszone przez ks. Domańskiego o Romanie Dmowskim jako wychowawcy narodu ogłoszone zostało następnie w całości w „Dzienniku Chicagowskim". W tymże piśmie oraz w „Dzienniku Związkowym" ukazały się artykuły mec. Szwajdlera pt.: „Roman Dmowski — twórca szkoły politycznej" i p. Izabeli Lutosławskiej-Wolikowskiej, poświęcony w części wspomnieniom osobistym.

Wśród wielu artykułów i wspomnień o Dmowskim drukowanych w prasie polsko-amerykańskiej wymienić należy także artykuły Jana Wawrzkowa i Stanisława Zarańskiego zamieszczone w „Dzienniku dla Wszystkich" w Buffalo, Henryka Tycnera w bostońskim „Kurierze Codziennym" oraz Adama Niebieszczańskiego w nowojorskim „Nowym Świecie".

Z ŻYCIA SN WE FRANCJI

Ostatnio na terenie Francji odbyły się liczne zebrania Stronnictwa Narodowego, m.i. w Rosieres, La Machine, Le Creusot, Voiron, Grenoble, La Mure i l'Abbaye de Cendras. Przemawiał p. W. Owoc. Odbyło się również zebranie w St. Etienne, na którym przemawiali pp. T. Barankiewicz, S. Łucki i W. Owoc.

★

W Lens, ośrodku górniczym północnej Francji, w 14 rocznicę zgonu Romana Dmowskiego urządzono zebranie. Przewodniczył p. S. Tomaszuk, dłuższe przemówienie poświęcone życiu i pracom Dmowskiego wygłosił prezes Wydziału Wykonawczego SN na Francję mec. B. Gajewicz. Dzień przedtem odprawiono w miejscowym kościele nabożeństwo za duszę Dmowskiego.

★

W Paryżu, w rocznicę zgonu Dmowskiego odprawione zostało dnia 2 stycznia nabożeństwo żałobne w kościele polskim pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, celebrowane przez ks. W. Tokarka w asyście alumnów seminarium polskiego, który następnie wygłosił kazanie podnoszące żarliwą, chrześcijańską miłość ojczyzny u Dmowskiego. Na nabożeństwo przybyli m.i. amb. K. Morawski, p.o. prezesa ZPUW W. Olszewski, prof. Z. Zaleski, płk Jaklicz, przedstawiciele organizacji społecznych, prasy, Wydział Wykonawczy i członkowie SN oraz liczna publiczność. Wieczorem, w wypełnionej sali Domu Kombatanta odbyła się akademia. Po zagajeniu mec. Gajewicza, dłuższe przemówienie o roli Dmowskiego wygłosił red. W. Nowosad. Roman Dmowski — mówił prelegent — był niezwykłą postacią w historii Polski. W warunkach najbardziej niesprzyjających tworzył politykę, nawiązującą do tradycji świetności z okresu piastowskiego. Apelował nie do uczuć, lecz do rozumu Polaków. Potrafił narzucić większości nieprzygotowanego do jego koncepcji narodu swój sposób myślenia i zostawił przyszłym pokoleniom metodę polityczną, która na zawsze zostanie własnością całej Polski. W części artystycznej grał młody, uzdolniony pianista A. Strawiński. Sekcja polska radia francuskiego w audycji przeznaczonej dla kraju nadała przemówienie p. S. Łuckiego pt. „Rola Dmowskiego jako wychowawcy młodzieży", po czym p. J. Nomarska recytowała wiersze J. Pietrkiewicza i K. Dobrzyńskiego poświęcone Dmowskiemu.

O PRZYWRÓCENIE KRZYŻA W GODLE PAŃSTWOWYM

(NBI) Z apelem do Prezydenta Rzeczypospolitej, aby przywrócił krzyż na koronie orła w godle państwowym ma zwrócić się zarząd Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej. Wezwanie to powziął szósty zjazd delegatów i działaczy polskiej Akcji Katolickiej, odbyty ostatnio w Londynie. Jak wiadomo, po zamachu majowym dekretem Prezydenta z r. 1928 krzyż został usunięty z herbu polskiego.

Zjazd wysłał poza tym do Ojca św. adres dziękczynny za wydanie bulli „Exul Familia". Bulla ta wprowadza światową organizację duszpasterstwa emigracyjnego i zabezpiecza narodowe tradycje wychodźców.

Zjazd odbył się w pięciolecie istnienia Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej, jedynego w Brytanii, gdyż angielska Akcja Katolicka nie istnieje. W ubiegłym roku wysiłki IPAK-u skierowane na sprawy młodzieży pracującej wyrażały się w kursach przodowników, ankietach, wydawnictwie broszur i odczytach. Ofiary na rzecz Akcji Katolickiej przewyższyły trzy-

krotnie sumy preliminowane. Dokonano wyborów uzupełniających do zarządu IPAK-u. Nowe prezydium ukonstytuowało się jak następuje: prezes J. Baliński-Jundziłł, wiceprezes Z. Podhorski, sekretarz W. Wasiutyński, skarbnik B. Podoski, zastępca sekretarza J. Płoski, zastępca skarbnika L. Czosnowski.

STARANIA O POLSKĄ SEKCJĘ RADIOWĄ W KANADZIE

(NBI) Szeroki oddźwięk w Kanadzie wywołał zamieszczony w wielkim dzienniku montrealskim „The Gazette" domagający się utworzenia polskiej sekcji radiowej, list dr Adama Bromkego, referenta prasowo-propagandowego Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Rady Politycznej.

List pt. „Polacy zapomnieni przez radio kanadyjskie" zwrócił uwagę na fakt, że będąca pod kontrolą rządową Canadian Broadcasting Company nie posiada do tej pory sekcji polskiej na wzór dawno już istniejących programów czeskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i innych. Dr Bromke umotywował konieczność utworzenia sekcji polskiej potrzebami miejscowej Polonii, a także interesem oficjalnej linii kanadyjskiej polityki antykomunistycznej.

Słuszność postulatów polskich została zrozumiana i poparta przez kanadyjską opinię publiczną. P. G. Drew, przewódca partii postępowo-konserwatywnej podniósł to zagadnienie w parlamencie federalnym zapytując resortowego ministra do jakich krajów zza żelaznej kurtyny nadawane są obcojęzyczne audycje radia kanadyjskiego i dlaczego nie ma programu polskiego. Minister zapewnił p. Drew, że udzieli odpowiedzi po przeprowadzeniu rozmów z urzędem spraw zagranicznych, kierującym obcojęzycznymi audycjami.

Dyskusja w parlamencie kanadyjskim nad sprawą audycji do Polski przeszła następnie na łamy pism angielskich i francuskich. Tygodnik katolicki „The Ensign" podał obszerne sprawozdanie z przebiegu dotychczasowych starań Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który wystąpił oficjalnie wobec władz federalnych domagając się otwarcia programu polskiego. Żądania Polaków „The Ensign" poparł równocześnie w artykule wstępnym pt. „Zapomniane miliony" stwierdzając w nim m. i.: „Polacy, jako nasi dawni sprzymierzeńcy i uciśniony naród chrześcijański — w pełni zasługują, aby otrzymać co najmniej słowa podtrzymania w tych ciężkich czasach próby i prześladowań".

Kanadyjska prasa polonijna z winnipegskim tygodnikiem „Czas" na czele poświęca wiele miejsca sprawie audycji do Polski, a o wystąpieniu dr Bromkego pisze: „Ten dobrze umotywowany list był pierwszym głosem w tej sprawie na gruncie kanadyjskim".

OFENSYWA RADIOWA POLONII AMERYKAŃSKIEJ

(NBI) Pod hasłem „Sprawiedliwość dla Polski" Kongres Polonii Amerykańskiej rozpoczął tygodniowe audycje radiowe w języku angielskim nadawane przez czternaście rozgłośni w różnych miastach Stanów Zjednoczonych. Audycje omawiają sprawy polskie, walkę z komunizmem i zadania Kongresu. Dają one jednocześnie pismom lokalnym tych 14 miast gdzie są nadawane obszerny materiał prasowy na tematy polskie.

Tę ofensywą radiową rozpoczęło przemówienie prezesa Kongresu Polonii, mec. K. Rozmarka, który przedstawił cele i zadania Kongresu, dotychczasowe osiągnięcia i program pracy na przyszłość. Przemówienie skierowane było głównie do młodego pokolenia Polonii, ale miało także na celu zwiększenie zainteresowania sprawami polskimi najszerszych kół amerykańskiej opinii publicznej.

Prasa w języku angielskim przyjęła ofensywę radiową życzliwie. Pisma drukują wiadomości o audycjach i piszą szeroko o działalności Kongresu jako nadrzędnej organizacji 6-milionowej Polonii amerykańskiej.

LISTY DO REDAKCJI

NEGATYWNY STOSUNEK?

Szanowny Panie Redaktorze,

Na obszerne wywody p. Z. Stahla, jakoby Dmowski odnosił się negatywnie do koncepcji walki zbrojnej i jakoby wynikało to z głębszych przesłanek jego ideologii, odpowiedziałem tyloma argumentami („Myśl Polska", nr 212) świadczącymi, że tezy p. Stahla nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością, iż sam uznał on widocznie za niemożliwe odparcie tych dowodów i gołosłownie odpowiedział: „żem go nie przekonał".

Zamiast argumentów p. Stahl spróbował nowego chwytu. Oto znalazł dowód „negatywnego stosunku do polskiej walki zbrojnej" narodowców w postaci „Dyspozycji do referatu na dzień 11 listopada" rozesłanych przez SPK i stara się wykazać ich sprzeczność z moimi wywodami. Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Zadałem sobie trud dokładnego przestudiowania „dyspozycji". Podkreślają one „udział licznych oddziałów polskich po stronie sprzymierzonych", „walki o Lwów z Ukraińcami (bryg. Mączyński)", powstanie, które „wyzwoliło Wielkopolskę", „powstanie śląskie" itd., jako składowe odzyskania niepodległości. Znajduję w nich jedynie potępienie niektórych powstań.

Twierdzenie, że wszelkie ruchy powstańcze nie liczące się z układem sił są szkodliwe jest słuszne nie tylko w odniesieniu do powstań polskich XIX wieku, ale i do powstania warszawskiego — ba, jest jak najbardziej słuszne i ważne na niedaleką przyszłość. P. Stahl nie weźmie mi za złe, jeżeli tu przypomnę noworoczne przemówienie p. prez. A. Zaleskiego, który ostrzegał przed przedwczesnymi ruchami podziemnymi i wzywał „do unikania wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do niepotrzebnych ofiar". Czy to też jest „negatywny stosunek do idei walki zbrojnej"?

Łączę wyrazy szacunku,

J. Płoski

ZALEGANIE Z PRENUMERATĄ POWODUJE WSTRZYMANIE WYSYŁKI

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 15 February 1953